

rum, przepisaniem w takich razach przez zwyczaje towarzyskie, dziękował jej z poniżającymi go jaskrawymi oznakami wdzięczności. Rozpłakał się nawet; potem pochwycił córkę w objęcia i chciał obnosić po pokojach. Lecz ona, przejęta mimowolnym wstrętem, wysunęła mu się z rąk jak mogła najdelikatniej — i chłodna niby posąg wyciosany z lodu, odeszła do swej sypialni. Brat i ciotka pobiegli za nią, żeby jej powinszować.

— Proszę was bardzo nie składajcie mi życzeń — rzekła głosem, w którym czuć było rozdrażnienie nerwowe. Robię, co mi nakazał zrobić obowiązek. Jeśli was to cieszy, tem lepiej... ale nie żądajcie odemnie, abym i ja cieszyła się wraz z wami.

O ile Zofia okazywała się zimną i obojętną dla ojca i brata, o tyle dość uprzejmie przyjmowała hołdy Korfa, nie unikając wcale widywania się z nim sam na sam, gdy o to prosił. Lecz w czasie takich sam na sam nie było między nimi mowy o miłości. Baron zdawał się zgadzać bez zastrzeżeń na dziwną sytuację, jaką wytworzyła wola dziewczęcia. Rozmawiali prawie zawsze o rzeczach obojętnych, o przyszłej instalacji w Warszawie i w Paryżu, o urządzeniu domu i o służbie, którą przyjąć albo oddalić należało. Korf pragnął opuścić swoje dotychczasowe w obu stolicach mieszkania (wprawdzie wspańskie, lecz noszące na sobie charakter kawalerski) i tak w jednym, jak w drugim mieście przenieść się wraz z żoną do nowych lokali.

— Kupię — mówił — jeden z najpiękniejszych pałacyków w Paryżu, który w tych dniach właśnie wystawiono na sprzedaż.

— Nie trzeba — odparła Zofia. Nie wydawaj pan zbyt wiele, zwłaszcza dla mnie. Pamiętaj, że masz we mnie współnika, nie żonę, muszę zatem czuwać nad pańskimi wydatkami.

On uśmiechnął się smutnie.

Ile razy Zofia z naciskiem powtarzającym się zbyt często wspominała o separacyjnym pożyciu, jakie ich czekało, z trudnością dławili w piersi, wyrwywając się z niej gwałtowne westchnienie i starał się rozpogodzić nagle zmarszczone czoło. Gdyby dziewczę znało lepiej świat i ludzi, odgadłoby prawdopodobnie, patrząc w jego oczy, błyskające ogniem namiętnym, że pokorny dziś sługa jutro już może, stawszy się srogim panem, zapagnie odzyskać należne mu prawa i posiąść tę, która obecnie odpycha go tak nierozważnie i stanowczo.

Wielohradzki przywiózł córkę z Deauville do Warszawy na dzień się dni zaledwie przed terminem na ślub wyznaczonym. Dla uniknięcia wydatków i kłopotu, ulokował ją u Dulskiej. Krótki czas przedślubny poświęcono na sporządzenie wyprawy i sprawunki.

Cała rodzina z cicią Zuzanną na czele od rana do późnego wieczora latała zażarcie ze sklepu do sklepu, z magazynu do magazynu, od krawców do modniarek, od szwaczek do jubilerów... Zofia, zupełnie obojętna i nie troszcząca się o nic, dawała się jednak wyciągać z domu. Bez sporu i namysłu zgadzała się i pochwalała wszystko, co ciotka i narzeczony za wspólnym porozumieniem się z sobą przeznaczali lub wybierali dla niej. Raz tylko sprzeciwiła się żądaniu Korfa, który w domu do niego należącym chciał znaczną część pierwszego piętra zamienić na apartament wyłącznie do jej użytku przeznaczony i urządzony z niesłychanym zbytkiem. Oświadczyła stanowczo, że prosi o jeden tylko pokój, umeblowany jej własnymi, skromnymi mebelkami z Sielanki. Dulski zwykle słodka i miła, tym razem uniosła się gniewem:

— Ależ moja droga, to niema sensu!

Lecz Korf uspokoił cicię gestem miękkim i ich wyszeptanymi słowami:

— Proszę się nie irytować... Każde życzenie panny Zofii jest dla mnie rozkazem, który spełnię zawsze posłusznie i z prawdziwą przyjemnością...

Rozumiał dobrze, o co jej chodziło. Postanowi-

ła pomimo małżeństwa pozostać dziewicą i żyć dalej wśród wspomnień z panieńskich czasów.

W kwestyi rozstrzygniętej według jej żądania nie przemówił już ani słówka więcej, lecz w parę dni potem, gdy Zofia dom jego zwiedzała, poprosił ją, żeby zajrzała do swego pokoiku. Stała w nim wszystkie jej panieńskie mebelki, przewiezione tu w nocy z Sielanki. Jedną tylko modyfikację ośmielił się zaprowadzić w całym urządzeniu sypialni swej przyszłej żony. Oto kazał obić ściany starą, jedwabną, autentyczną materią z XVIII wieku, całą białą, z drobnym na tej białości rzucikiem czerwonych różyczek, przewiązanych błękitnymi kokardkami.

Pomimo swej dumnej i chłodnej obojętności Zofia z uznaniem zauważyła zmianę. Ufna w dane jej słowo wyciągnęła do Korfa rękę i rzekła bardzo uprzejmie:

— Dziękuję panu.

On, o mało co nie zapomniał się i już... już niósł do ust rączkę alabastrowej białości, aby złożyć na niej gorący pocałunek, lecz wnet opamię-

że potężnie w sposób zastraszający. Usta jej wyszeptaly bezwiednie:

— Jakie to nieszczęście! jakie wielkie nieszczęście!

Chciała więc życzliwym przyjęciem i uprzejmem zachowaniem się z jego matką wynagrodzić mu choć w części mimowolnie wyrządzoną krzywdę.

Pani Rutkowska, z domu Sormier, żona polskiego emigranta, matka barona Korfa (który tylko na aktach urzędowych podpisywał się „Rutkowski-Korf“) otrzepywała w przedpokoju kurz z podróżnego ubioru. Uściskawszy serdecznie ukochanego syna, mówiła głosem donośnym:

— Więc ty nicponiu żenisz się naprawdę?... Żałuję mocno biedaczki, która za ciebie wychodzi, bo nie wątpię, że jak dokuczałeś mnie całe życie, tak i jej dokuczać będziesz urwisie!

Niezwykły to był typ kobiety dla polskiego otoczenia, chociaż bardzo pospolity w południowej Francji. Wysoka, otyła, ciemnowłosa, o twarzy opalonej słońcem i wiatrem, musiała być niegdyś bardzo piękną, ową pięknoscią na wpół włoską, a na wpół cygańską, jaką odznaczają się Prowansalki.

Prowansalką zaś była duszą całą, oraz krwią z krwi i kością z kości. Dziś z dawnej jej urody nie pozostało i śladu. Z trudnością poruszała się w obcisłej odzieży mieszczańsko-europejskiej, sprawionej widocznie przed samym wyjazdem dla uczczenia nawet strojem uroczystości rodzinnej. Modny kapelusz z kwiatami wyglądał na jej głowie dziwnie, znać, że głowie tej byłoby stokrót ładniej i lepiej w chłopskiej chustce jaskrawej. Bardzo rozsądna, jak ognia lękała się śmieszności. Rozumiała wybornie, że w towarzystwie, w jakim syn jej żyje i przebywa, niema dla niej odpowiedniego miejsca, lecz miłość rodzicielska przemogła w jej sercu wrodzoną, szlachetną dumę i długie wahanie się „jechać, czy nie jechać do obcego, nieznanego kraju“, kiedy może w niej nie uszanują prostej i pospolitej, lecz zarazem zacnej i prawej żony nieszczęśliwego wygnańca, w społeczeństwie jej sąsiadów, współziemian-rolników, schłopiał także i o polskich fuchach szlacheckich zapomniał zupełnie.

Chciała koniecznie choć raz w życiu zobaczyć przyszłą synową. Wszakże ona ma ją obdarzyć gronem upragnionych wnucząt, z których jedno zabierze, choćby przemocą do swej wiejskiej posiadłości i wychowa pod ogniem ziejącym słońcem południowem, w czystym i zdrowym powietrzu przepięknej, skalistej, umiłowanej przez nią okolicy.

Pomimo wielkiej pewności siebie, wypływającej z głębokiego przekonania, że jest kobietą dobrą, uczciwą, wcale nie głupią i godną szacunku, uczuła się nieco zażenowaną, gdy ją syn wprowadził do komnaty, w której się już znajdowali: Wielohradzki, Karol i ciotka Dulski. Zdawała sobie jasno sprawę, że owi sztywni i wymuskani panowie, oraz owa dama — do porcelanowej laleczki podobna — chociaż dla matki barona Korfa są bardzo grzeczni, jednakże w duszy żartują sobie z francuskiej chłopki. Czytała w ich oczach wzgardę i lekceważenie, więc z niesłychaną obawą oczekiwała na Zosię. Ci tam nic jej nie obchodzili, lecz w niej pragnęła mieć córkę.

Wtem Zofia weszła do salonu.

— Moja matka — rzekł do niej Korf mocno wzruszony.

Z prostotą, pełną szczerzej dobroci i wdzięku zbliżyła się Zofia do Rutkowskiej, objęła ją wpół ramieniem, a potem do rąk jej się nachyliła, żeby na nich złożyć dwa gorące pocałunki.

— Ach, mój Boże!... ach, mój Boże! — zawołała Rutkowska — jakaż ja szczęśliwa... jakże się cieszę, że on panią wybrał... że ciebie pani poślubi!

Od razu przecuciem kobiecego serca oceniła całą jej dobroć i szlachetność. „To nie lalka“ — myślała — „jaką obawiałam się spotkać“.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Co mówisz babciu? — zapytał zdławionym głosem.

tał się i zapanował nad zmysłami... Więc podaną rękę tylko uściśnął przyjaźnie. Rozumiał, że musi chłód udawać, aby oswoić ofiarę, inaczej bowiem upragnionego celu nie dopnie. To też ciągle postępował z niesłychanym taktiem. Codziennie posyłał jej do mieszkania ciotki najcenniejsze kwiaty, sprowadzane z zagranicy, lecz tu — w pokoju dla niej przeznaczonym — wstawił w skromny, szklany puhan (który widzieliśmy niegdyś w jej sypialni w Sielance) tylko jedną gałąź lilii białej. Ona zachwycona ulubionym kwiatem, nachyliła się nad nim, checiwie pojąc się jego cudnym zapachem.

Korf cofnął się ku drzwiom, mówiąc:

— Pozwoli pani, że ją opuszczę na chwilę. Słyszę zajeżdżający powóz... to pewno moja matka.

— I pan nie pojechałeś po nią na kolej? — zapytała tonem wyrzutu.

— Wiedziałem, że o godzinie, w której pociąg z Francji przybywa, pani tu będzie.

Wybiegł spiesźnie.

Zofia zastanowiła się nad ogromną siłą miłości, wywołanej przez nią mimowolnie. Pomimo wszystko co czyniła, żeby go do siebie zniechęcić, czuła, że przywiązanie Korfa wzrasta z dniem każdym,